



Mirosław Derecki

EKRAN I WIDZ: CO TAM, PANIE W „XYZ”?

„Tempora mutantur...” – jak mawiali Rzymianie, a my uzupełniamy: czasy się zmieniają, ludzie się – tu i ówdzie – zmieniają, nawet się zmieniają niektóre programy. Tylko stalowi harcownicy telewizyjnego programu „XYZ”, Zygmunt Kałużyński i Stefan Treugutt, tkwią niewzruszenie w kulbakach. I choć w sumie lubię „zgadywanke ze sfer artystycznych” prowadzoną przez panią Ninę Terentiew, to przyznaję ze wstydem, że niektórzy dyskutanci na jej wieczorkach towarzyskich – mimo wszelkie gejzery intelektu i fontanny dedukcji – śmiertelnie mi się opatrzyli.

Jedyna pociecha, że przynajmniej tajemniczy „iks” – którego tożsamość na podstawie perfidnie skonstruowanych przesłanek mamy odgadnąć – nie jest wciąż tą samą osobą.

Nie tak dawno męczyliśmy się wszyscy bardzo długo nad pewnym osobnikiem, który zakamufłował się niezwykle zręcznie, zawodząc gości programu „XYZ” już to swoją miłością do pisarzy latynoamerykańskich, już to zachwyceniem szermierką na bagnety, a nawet godząc w nich informacją, że w latach młodości zdawał na uniwersytecie egzamin u biskupa Stefana Wyszyńskiego. Tak to zbulwersowało Treugutta z Kałużyńskim, że zaczęli się poważnie zastanawiać, czy nie chodzi przypadkiem... o Daniela Olbrychskiego. Który życiorys ma bujny i nietypowy, a więc mógłby się także otrzeć kiedyś o studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Dali tym samym przykład nieznamości najnowszej historii Polski. Jako, że gdy bohater wajdowskich „Popiołów” chodził jeszcze do szkoły, Stefan Wyszyński był już, chwała Bogu, kardynałem. I w dodatku znajdował się wówczas w tzw. „miejscu odosobnienia”, a nie na uniwersytecie. A „Iksem” wbrew wszelkim przypuszczeniom, okazał się Wojciech Siemion.

Z Siemionem, istotnie, jest sprawa niełatwa. Od dawna przyzwyczailiśmy się do jego niesfornej płowej czupryny wiejskiego osiłka z lat dwudziestych, do świdrującego spojrzenia chłopskiego przechery oraz szerokiego uśmiechu żołnierza lub ludowego partyzanta z filmów Jerzego Passendorfera, a on nam tu wyjeżdża z miłością do Staffa, Czechowicza, Borghesa i Marqueza, kreuje się na absolutnego Europejczyka. My zaś wciąż pamiętamy przede wszystkim Siemiona jako twórcę „Wieży malowanej”, wzniesionej w oparciu o piosenki, przyspiewki i porzekadła ludowe lub jako Chrystusa Frasobliwego w słynnym dejmkowskim

przedstawieniu „Historia o Chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim” i z szeregu innych, „ludowych”, tak bardzo charakterystycznych „siemionowskich” roli i postaci.

W rzeczonym programie „XYZ” Michał Jagiełło zadał Wojciechowi Siemionowi mało przyjemne pytanie dla aktora, dla przecież słuszne pytanie (powołujące się nb. na własne, wiejskie pochodzenie) – czy nie zauważa iż jego ciągle „chłopskie lamentowanie” irytuje już nawet... samych mieszkańców wsi; nawet tych już niemłodych i wyjątkowo silnie przywiązanych do tradycji? Siemion argumentował, że w jego bogatym dorobku artystycznym, wśród wielu ról i kilkudziesięciu monodramatów, jakie prezentował publiczności, tylko niewielką część stanowią pozycje „ludowe”. Że prezentował twórczość Grochowiaka, Słonimskiego, Stachury i wielu innych poetów i pisarzy.

I to jest prawda, Sam zresztą doskonale pamiętam z połowy lat pięćdziesiątych Siemiona jako „specja” od recytacji K.I. Gałczyńskiego, czy współtwórcę interesującego wieczoru poezji Apollinaire’a: dopiero później przyszedł sukces i popularność „Wieży malowanej” oraz role m.in. w filmach „Kierunek Berlin” czy „Barwy walki”. Tam objawia się w pełni swoista, niepowtarzalna „charakterystyczność” Wojciecha Siemiona.

Tylko, że wyrazistość postaci jaką stworzył utalentowany aktor, zaważyła później na całej jego drodze twórczej. Charakterystyczność Siemiona stała się tak „charakterystyczna”, że aż w końcu – nie do zniesienia. Zastawiając kiedyś artystyczną zasadzkę na publiczność, wpadł w końcu we własne sidła. Dziś, kiedy mówi nawet Stachurę, widzimy w nim bezwolnie – wesołego chłopaka z Krzczonowa na Lubelszczyźnie; Stachura zaś urodził się we Francji, mieszkał potem w Ciechocinku i Warszawie, i uważał się za księcia poetów. Nawet kiedy Siemion odgarnia w rozmowie włosy z czoła lub gdy szczyrzy zęby w swym szerokim uśmiechu widzimy go zaraz w mundurze ludowego żołnierza, a nie – prywatnie.

Tragedią aktorów grających role amantów jest czas osadzający się coraz bardziej widomie na ich barkach. Czyżby niebezpieczeństwem czyhającym wciąż na aktorów charakterystycznych była ich własna osobowość? Stworzony „typ”, od którego w sztuce ani nawet w życiu osobistym nie potrafią się potem w pełni uwolnić?

Co tam, panie w „XYZ”? Ano, panie, jak w życiu: czasem trochę śmiesznie, czasem trochę smutno...

Pierwodruk: „Kamena”, 1981, nr 7, s. 12.